

Ludożerstwo w wagonach

Mark Twain



calibre 0.9.27

LUDOŻERSTWO W WAGONACH

Mark Twain

Niedawno wybrałem się do St. Louis. W drodze na zachód, po przesiadce w Terre Haute (w stanie Indiana), na którejś z mniejszych stacji wsiadł jakiś pan o łagodnej, dobrotliwej powierzchowności, mogący mieć ze czterdzieści pięć lub pięćdziesiąt lat i zajął miejsce koło mnie. Rozmawialiśmy z godzinę bardzo przyjemnie na rozmaite tematy i mój towarzysz wydał mi się ogromnie miły i inteligentny. Dowiedziawszy się, że jestem z Waszyngtonu, zaczął rozpytywać się o różne osobistości polityczne i o szczegóły dotyczące Kongresu.

Wkrótce przekonałem się, że rozmawiam z człowiekiem wybornie zorientowanym we wszystkich szczegółach życia politycznego, któremu nie były obce nawet przyzwyczajenia i maniere wybitniejszych mówców i przedstawicieli Izb.

Wtem przeszło koło nas dwóch mężczyzn, z których jeden odezwał się do drugiego:

- Harris, mój kochany, zrób to dla mnie.

Oczy mego towarzysza zabłyśły. Widocznie te słowa obudziły w nim jakieś miłe wspomnienie. Potem rysy jego powlókł wyraz głębokiego zamyślenia, nieledwie ponurości.

Zwrócił się do mnie mówiąc:

- Pozwól pan, że panu coś opowiem. Jest to tajemny rozdział mego życia, rozdział, o którym nigdy nie wspominałem nikomu, odkąd wszystko się wykryło. Wysłuchaj pan cierpliwie i przyrzeknij, że nie będziesz mi przerywał.

Przyrzekłem, po czym nieznajomy opowiedział mi następującą przygodę, mówiąc chwilami z ożywieniem, chwilami ze smutkiem, ale zawsze ze szczerem i głębokim uczuciem.

OPOWIADANIE NIEZNAJOMEGO

Dnia 19 grudnia 1863 r. wyjechałem z St. Louis wieczornym pociągiem, idącym do Chicago. Było nas dwudziestu czterech podróżnych, samych mężczyzn, bez kobiet i dzieci.

Byliśmy wszyscy w wybornych humorach i wkrótce pozawieraliśmy między sobą przyjemne znajomości.

Podróż zapowiadała się szczęśliwie i nikt z nas, jak sądzę, nie przeczuwał okropności, jakie nas czekały.

Około jedenastej wieczorem zaczął sypać śnieg. Po przejechaniu niewielkiej osady Welden wydostaliśmy się na olbrzymią prerię, która rozciąga się bezkresnym pustkowiem aż w stronę Osad Jubileuszowych. Wiatr, nie zatrzymywany żadnymi wzgórkami ani drzewami, dał wściekle przez stopy, rzucając śniegiem jak pianą rozprysniętą ze wzburzonych bałwanów.

Śnieg gęstniał z każdą chwilą, a ze zwalnającego stopniowo biegu pociągu wnosiliśmy, że lokomotywa przekopuje się z coraz większą trudnością. Chwilami nawet przystawaliśmy zupełnie przed wielkimi zaspami, które przewalały się przez tor kolejowy na kształt olbrzymich mogił. Rozmowa zaczęła się trwać. Zamiast wesołości zapanowała powaga i niepokój. Wszystkim nasunęło się na myśl prawdopodobieństwo zagrzebania w śniegu wśród szczerego stepu, o dziesiątki mil od

ludzkich osiedli - i wszystkimi umysłami owładnęło przygnębienie.

Około drugiej w nocy obudziło mnie z niespokojnej drzemki uczucie, że ustał wszelki ruch. Od razu pojąłem okrutną prawdę: byliśmy uwięzieni w zaspie śnieżnej! "Wszystkie ręce do pomocy!" Każdy skoczył na to wezwanie. Wybiegliśmy w burzliwą noc, w nieprzejrzone ciemności, w wirujące tumany śniegu, na wściekłe podmuchy wiatru, wybiegliśmy czując, iż chwila jeszcze, a zginiemy wszyscy. Odgarnialiśmy śnieg, czym się dało: rękami, łopatami, deskami, wszystkim, co tylko było pod ręką. Dziwny to był i posępny widok, ta gromada oszalałych ludzi walczących ze śniegiem, który walił zewsząd, po części zanurzonych w głębokiej ciemności, po części zaś oświetlonych ponurym blaskiem reflektorów lokomotywy.

Godzina wystarczyła, aby przekonać nas, jak bezowocne były nasze wysiłki. W czasie, w którym zdołaliśmy usunąć jedną zaspę, wichur naniósł nam dziesięć nowych. Co gorsza, odkryliśmy, że przy ostatnim ataku na nieprzyjaciela został uszkodzony tender, gdyby więc nawet otworzyła nam się wolna droga, pozostalibyśmy bezradni. Strudzeni i zgnębieni do ostatka powróciliśmy do wagonu.

Zgromadzeni dokoła pieców zaczęliśmy na serio rozważać położenie. Nie mieliśmy ze sobą żadnych zgoła zapasów i to martwiło nas najbardziej. Nie groziło nam zmarznięcie, gdyż pociąg posiadał ogromny zapas drzewa, i to było dla nas jedyną pociechą. Zakończyliśmy dyskusję zgadzając się z uwagą konduktora, który rzekł, że byłoby szaleństwem wędrować pieszo pięćdziesiąt kilometrów po takim śniegu. Nie mogliśmy posłać po pomoc, a choćbyśmy posłali, nie zdałoby się to na nic. Musieliśmy tedy ulec i oczekiwać, o ile możliwości cierpliwie, na ratunek lub śmierć głodową. Sądzę, że najmężniejsze nawet serce zdrętwiało, w chwili gdy wyrzeczono te słowa.

Po upływie dalszej godziny rozmowa ograniczała się już tylko do przyciszonych szeptów tu i ówdzie po kątach wagonu, tłumionych chwilami głośniejszym poświstem wiatru; lampy przygasły; większość skazańców usunęła się w niepewny półmrok, ażeby rozmyślać, zapomnieć o terażniejszości, zasnąć, o ile im nerwy na to pozwolą.

Nareszcie minęły wlokące się wolno godziny tej strasznej nocy, która zdawała się nam wiecznością, i na wschodzie zaświtał chłodny, szary ranek. Rozwidniało się coraz bardziej i podróżni zaczęli się poruszać i dawać znaki życia. Coraz to któryś odsuwał z czoła spuszczonego kapelusza, prostował zdrętwiałe członki i wyglądał oknem na smętny krajobraz.

Zaiste był on smętny! Ani śladu życia nigdzie dokoła, jak okiem sięgnąć śnieżna pustka; tu i ówdzie wiatr podrywał z ziemi tumany śniegu, a chmary wirujących płatów zamykały firmament nad naszymi głowami.

Cały dzień włóczyliśmy się po wagonach mówiąc niewiele, pogrążeni w myślach. Jeszcze jedna noc nudna, niekończąca się - i stanęło przed nami widmo głodu.

Jeszcze jeden świt, jeszcze jeden dzień posępnego milczenia, przejmującego smutku, głodu i oczekiwania na ratunek, który nie przychodził. Noc snów gorączkowych z ciągłymi wizjami uczt i chwilami przebudzenia, w czasie których głód szarpał nam coraz mocniej wnętrzości.

Czwarty dzień nadszedł i minął, potem zaświtał piąty! Pięć dni okrutnego więzienia! We wszystkich oczach malowała się dzikość ludzi głodnych. Była w tych spojrzeniach zapowiedź czegoś strasznego, wstęp do tego, co z wolna kształtowało się w głębi każdej duszy, ale czego jeszcze żaden język nie odważał się wypowiedzieć słowami.

Minął szósty dzień i siódmy i brzask ujrzał znów gromadę ludzi wynędzniałych, okropnych, bez żadnej nadziei, najnieszczęśliwszą gromadę, jaka kiedykolwiek znalazła się w obliczu śmierci. Teraz musiało ujawnić się i przybrać kształt słów to, co wzrosło na dnie duszy każdego z nas.

Ulegliśmy więc nareszcie. Podniósł się p. Richard Gaston z Minnesota, wysoki, szczupły, trupieblady. Wszyscy wiedzieli, co teraz nastąpi. Wszyscy byli gotowi... stłumiono wszelki ślad

wzruszenia, wszelki nawet pozór podniecenia... w oczach, które przed chwilą płonęły dzikim blaskiem, odbijało się teraz tylko spokojne i poważne zamyślenie.

- Panowie, nie możemy zwlekać dłużej! Nadeszła chwila stanowcza. Musimy się zdecydować, kto z nas ma zginąć, ażeby reszcie dostarczyć pożywienia.

Pan John Williams z Illinois powstał i rzekł:

- Panowie, ja głosuję za wielebnym ks. Jamesem Sawyer z Tennessee.

P. John Adams z Indiany rzekł:

- Ja głosuję za panem Danielem Slote z New Yorku.

Pan Charles Langdow:

- Ja głosuję za panem Samuelem Bowen z St. Louis.

Pan Slote:

- Panowie, ja skłaniałbym się na stronę p. Johna van Nostrand-juniora z New Jersey.

Pan Gaston:

- Jeśli nikt nie protestuje, możemy się przychylić do życzenia pana Slote.

Ponieważ pan van Nostrand protestował, więc wniosek pana Slote'a nie przeszedł.

Wnioski pp. Sawyera i Bowena zostały odrzucone dla tych samych powodów.

Pan A. L. Bascom z Ohio:

- Ja oświadczam się za przerwaniem głosowania jawnego i wnoszę, aby zgromadzenie przystąpiło do wyborów tajnych.

Ks. Sawyer:

- Panowie, ja stanowczo protestuję przeciw tej metodzie postępowania. Jest to sposób pod każdym względem chaotyczny i niestosowny. Zmuszony jestem wnieść, ażeby obrady zostały natychmiast przerwane i abyśmy wybrali przewodniczącego zebrania i odpowiednich urzędników, a wówczas dopiero będziemy mogli przystąpić do obrad w sposób zrozumiały.

Pan Beli z Iowa:

- Ja protestuję. To nie jest pora do obstawania przy formalistycy i do obserwowania ceremoniału. Przeszło siedem dni byliśmy bez pożywienia. Każda chwila zmarnowana na jałowe dyskusje powiększa naszą niedolę. Ja jestem zadowolony z głosów, które padły dotąd... sędzę, że wszyscy tu obecni są zadowoleni... i, co do mnie, zupełnie nie widzę powodu, dla którego nie mielibyśmy przystąpić natychmiast do wybrania jednego lub więcej spośród wymienionych kandydatów. Chciałbym przedstawić rezolucję...

Pan Gaston:

- Która by się zapewne spotkała z protestem i stosownie do reguł musiałaby być rozpatrywana przez jedną dobę, co by właśnie spowodowało zwłokę, której pan chcesz uniknąć. Pan van Nostrand z New Jersey...

Pan Nostrand:

- Panowie, ja jestem tutaj obcy; nie ubiegałem się o zaszczyt, który mi przypada w udziale, i mam pewne skrupuły...

P. Morgan z Alabama (przerywa):

- Ja wnoszę poruszenie kwestii poprzedniej.

Przystąpiono do wyborów zawieszając oczywiście dalszą dyskusję. Pana Gastona wybrano na przewodniczącego, p. Blake'a na sekretarza, pp. Holcoma, Dyera i Baldwina do komisji skrutacyjnej, a p. Howlanda dokooptowano do komisji, jako pomocnika do zbierania głosów.

Potem nastąpiła półgodzinna przerwa.

Na dźwięk dzwonka przewodniczącego zebrali się znów wszyscy członkowie zgromadzenia, a

komisja skrutacyjna zdecydowała uznać za najodpowiedniejszych kandydatów panów: George'a Fergusona z Kentucky, Luciena Herrmana z Louisiany oraz W. Mesicka z Colorado. Sprawozdanie komisji zostało przyjęte.

P. Rogers z Missouri:

- Panie przewodniczący, teraz, gdy wniosek jest postawiony, pozwalam sobie na małe sprostowanie i proponuję, aby na miejsce p. Herrmana przedstawić p. Lucjusza Harris z St. Louis, którego mamy zaszczyt znać wszyscy.

Nie zamierzam nawet rzucać cienia podejrzenia na charakter lub stanowisko szanownego pana Herrmana - przeciwnie. Cenię go i uważam podobnie jak wszyscy tu obecni, ale nikt z nas nie może zaprzeczyć, że dżentelmen ten w ciągu tygodnia, któryśmy tu spędzili, stracił więcej ciała niż którykolwiek spomiędzy nas... nikt więc nie może zaprzeczyć, że komisja na samym wstępie zlekceważyła swe obowiązki, czy to przez nieuwagę, czy dla ważniejszych przyczyn, przedstawiając nam jako kandydata człowieka, który, jakkolwiek czyste są jego pobudki, zawiera o wiele mniej substancji odżywczych.

Przewodniczący:

- Niech p. Rogers z Missouri zechce zająć miejsce. Przewodniczący nie może zezwolić na podawanie w wątpliwość rzetelności komisji w toku obrad. To sprzeciwia się regułom. Jaką drogę postępowania obiera Izba wobec wniosku p. Rogersa?

P. Holliday z Wirginii:

- Ja proponuję dalsze poprawki, a mianowicie, zastąpienie p. Messicka przez pana Harweya Davisa z Oregonu.

Można by mi zarzucić, że trudy i niebezpieczeństwa życia w prowincji nadgranicznej uczyniły p. Davisa zbyt twardym, ale, panowie, czyż to jest chwila, aby wyrzekać na twardość? Czyż to pora stosowna do zastanawiania się nad drobnostkami, sprawami podrzędnego znaczenia? Nie, panowie, ciało jest właśnie takie, jakiego nam potrzeba: rozmiary, waga, solidność budowy. Oto są dla nas najważniejsze kwalifikacje... nie zaś zdolności, talenty lub wykształcenie. Obstawiam przy moim wniosku.

P. Morgan (podniecony):

- Panie przewodniczący, ja stanowczo sprzeciwiam się temu wnioskowi. P. Davis z Oregonu jest w podeszłym wieku, przy tym tęgość jego polega głównie na rozrośnięciu się kości, nie zaś mięśni. Pytam p. Hollidaya, czy my potrzebujemy zupy, czy pokarmu stałego? Czy każe nam zadowolić się cieniem? Czy chce się naigrawać z naszych cierpień proponując nam tego oregońskiego upiora? Pytam się pana Hollidaya, czy jest w stanie spojrzeć w nasze wynędzniałe twarze, spotkać się z wejrzeniem naszych tęsknych oczu, czy może słuchać niespokojnego tętna naszych serc wzburzonych oczekiwaniem i narzucać nam takie oszukaństwo? Pytam go, czy może pomyśleć o naszym rozpaczliwym stanie, o minionych strapieniach, o ciemnej przyszłości, jaka nas czeka, i potem narzucać nam i tę ruinę, tego chwiejącego się starca, tego wyschłego, wybladłego i skurczonego przybłądę z niegościnnych wybrzeży Oregonu? Nigdy! Przenigdy!

(Oklaski.)

Propozycja zamiany została poddana głosowaniu i po gorącej dyskusji upadła. W myśl uprzedniego wniosku postawiono kandydaturę p. Harrisa. Potem nastąpiło tajne głosowanie.

Pięciokrotnie głosy były rozstrzelone. Za szóstym razem p. Harris został wybrany wszystkimi głosami prócz własnego. Wówczas postanowiono doprowadzić do potwierdzenia jego wyboru przez aklamację, co się zresztą nie powiodło, gdyż znowu głosował przeciw sobie.

P. Radway zaproponował, żeby Izba zebrała pozostałych kandydatów i przystąpiła do wyborów

na śniadanie. Życzeniu jego stało się zadość.

W pierwszym głosowaniu nastąpiło zamieszanie, bowiem połowa członków głosowała za jednym kandydatem ze względu na jego młodość, połowa zaś wolała drugiego ze względu na jego tuszę. Prezes dał rozstrzygający głos za drugim, którym był p. Messick z Colorado. To postanowienie wywołało żywe niezadowolenie w obozie przyjaciół zwyciężonego kandydata, p. Fergusona, i była nawet mowa o tym, aby zażądać powtórnego balotowania; w czasie tego jednak wystąpiono z wnioskiem o odroczenie zebrania i zostało ono natychmiast zamknięte.

Przygotowania do kolacji odwróciły na jakiś czas uwagę stronnictwa p. Fergusona od doznanych niepowodzeń, gdy zaś mieli zebrać się na nowo, wszelką myśl o tym udaremniła wiadomość, iż p. Harris jest już gotowy.

Zaimprovizowaliśmy stoły podnosząc do góry oparcia od siedzeń i z sercami przepelnionymi wdzięcznością zasiedliśmy do najwspanialszej kolacji, jaką można było wymarzyć przez siedem dni męczarni głodowych. O, jakże inaczej wyglądaliśmy teraz niż przed kilku godzinami! Przedtem - beznadziejna nędza, głód, rozpacz i gorączkowy niepokój, teraz - pogoda, dziękczynienie i radość nie dająca się wprost wyrazić. To była chyba najmiłsza godzina mego życia, tak obfitego w zdarzenia.

Wicher wyl i jęczał miotając tumany śniegu dookoła naszego więzienia, ale nie był już w stanie doprowadzić nas do rozpacz.

Harris smakował mi. Mógł być co prawda lepiej przyrządzony, wszelako muszę przyznać, że nigdy żaden człowiek nie przypadł mi bardziej do gustu i nikt nie sprawił mi tyle przyjemności co Harris. Messick był bardzo smaczny, choć może nieco za wiele miał aromatu, ale jeśli chodzi o pożywność i delikatność włókien, dawajcie Harrisa! W Messicku były doskonałe miejsca - nie przeczę i nie mam bynajmniej zamiaru przeczyć - ale nadawał się na śniadanie jak mumia egipska; tak, panie, chudy, ach, mój Boże, chudy i twardy, bardzo twardy. Trudno sobie wyobrazić coś równie twardego.

- Czy pan przez to chce powiedzieć...

- Bądź pan łaskaw nie przerywać mi.

Po śniadaniu wybraliśmy na kolację pewnego pana z Detroit, nazwiskiem Walker. Bardzo był smakowity, pisałem to później jego żonie. Nigdy nie zapomnę Walkera. Był nieco rzadki, ale smaczny.

Nazajutrz z rana dostaliśmy Morgana z Alabamy. To był najwyborniejszy człowiek, jakiego w życiu kosztowałem: przystojny, dystyngowany, wykształcony, władał paroma językami, przy tym prawdziwy dżentelmen w obojętności, tak, zupełny dżentelmen... i - ogromnie soczysty. Na kolację mieliśmy tego patriarchę z Oregonu; no, na tym nas oszukali: stary, twardy, wyschnięty, trudno opisać do czego był podobny! Nie mogąc już wytrzymać powiedziałem:

- Panowie, róbcie, jak chcecie, ale co do mnie, wolę poczekać do następnych wyborów.

Grimes z Illinois powiedział:

- Panowie, ja również wolę poczekać. Gdy panowie wybierzeć człowieka, który będzie w stanie usprawiedliwić wasz wybór, wówczas się do was przyłączę.

Wkrótce się okazało, że Davis z Oregonu wywołał powszechne niezadowolenie, by więc zachować pogodę umysłów, która panowała od chwili, kiedy dostaliśmy Harrisa, ponowiono wybory, wskutek czego głosy padły na Bakera z Georgii. Ten był wyśmieniony! No, potem mieliśmy Dolittle'a i Hawkinsa, potem McElwaya (trochę się skarżono na McElwaya, bo był niepospolicie drobny i szczupły), potem Penroda, obu Smithów, Bailey'a (Bailey miał drewnianą nogę, oczywista strata, ale poza tym był dobry), dalej indiańskiego malca, organistę i niejakiego Buckminstera; to był jakaś biedak, zupełnie nienadający się do towarzystwa ani też na śniadanie. Szczęściem jego wybór

przypadł już na okres przed samym nadejściem pomocy.

- Ach, więc pomoc wreszcie nadeszła?

- Tak, nadeszła pewnego ślicznego poranka zaraz po wyborach. Kandydatem był John Murphy i ręczę, że byłby doskonały; ale Murphy wrócił z nami do domu w przysłanym nam na ratunek pociągu i ożenił się z panią Harris, wdową...

- Z wdową po...

- Po pierwszym naszym kandydacie. Ożenił się z nią, bardzo jest szczęśliwy, ogólnie szanowany i dobrze mu się powodzi. Ach, panie, to było zupełnie jak w powieści!... Ale otóż i moja stacja, muszę pana pożegnać. Jeśli pan kiedyś znajdzie parę dni wolnego czasu, miło mi będzie widzieć pana u siebie. Pan mi się bardzo podoba.

Poczułem do pana prawdziwą sympatię. Mógłbym pana polubić na równi z Harrisem. Żegnam pana i życzę szczęśliwej podróży.

Odszedł.

Nigdy w życiu nie byłem tak oszołomiony, zdumiony i przerażony jak wtedy! I z głębi duszy cieszyłem się, że go już nie ma. Mimo całej łagodności jego obejścia i miłego brzmienia głosu, drżałem, ilekroć spojrzał na mnie swym zgłodniałym wzrokiem; gdy zaś usłyszałem, że potrafiłem zdobyć jego niebezpieczną sympatię i że w jego mniemaniu stoję na równi z nieboszczykiem Harrisem, serce we mnie po prostu zamarło. Moje przerażenie nie da się opisać. Nie mogłem wątpić o prawdzie jego słów: niepodobna było zaprzeczyć opowiadaniu odznaczającemu się prawdziwością drobnych nawet szczegółów; ale okropność ich obezwładniła mnie wprowadzając okrutny zamęt do moich myśli. Spostrzegłem, że konduktor przygląda mi się, i spytałem:

- Kto to był ten pan, z którym rozmawiałem?

- Był on dawniej członkiem parlamentu i bardzo rozumnym człowiekiem. Ale kiedyś wraz z pociągiem ugrzązł w zaspach śnieżnych i mało co na śmierć się nie zagłodził. Zimno i głód tak go wyniszczyły, że rozchorował się potem i cierpiał na pomieszanie zmysłów przez parę miesięcy. Teraz jest już zdrow, ale ma monomanię i gdy raz wpadnie na swój temat, to nie przestanie dopóty, dopóki nie zje wszystkich pasażerów owego pociągu. Do tej chwili byłby już skończył z całym towarzystwem, gdyby nie to, że musiał wysiadać. Zna ich nazwiska jak pacierz, a kiedy opowie o zjedzeniu wszystkich po kolei, kończy zwykle w taki sposób:

Gdy nadeszła zwykła godzina wyborów na śniadanie i nie było żadnej opozycji, ja zostałem wybrany w sposób formalny, po czym, gdy nikt nie protestował, sam zgłosiłem rezygnację. Oto, w jaki sposób jestem tutaj.

Uczułem niezmierną ulgę dowiadując się, że wszystko, com słyszał, były to niewinne majaczenia wariata, nie zaś prawdziwe wspomnienia krwawego ludożercy.

Przygotowano na podstawie bookini.pl